

Kiedy słońce było jeszcze dosyć nisko nad horyzontem, wiatr ustał całkiem, a fale uspokoiły się na tyle, że jedynie delikatnie obmywały stopy blondynki, łaskocząc przy tym niesamowicie. W tym momencie myśli w jej głowie nagle urwały się, kończąc w połowie zdania dobrze rozwijającą się opowieść oraz zatrzymując rozwój wydarzeń w sformatowanej opowieści na początku jednej ze scen, w której to główni bohaterowie zostali nagle, niespodzianie zatrzymani na ciemną noc w środku wielkiego i gęstego lasu.

Lecz nie dane jej było kontynuowanie tego wątku, bo oto nagle zaatakowała myśli jakaś niemoc, zaś w głowie pojawiła się kompletna pustka. Dalsze pisanie przestało więc w tej sytuacji mieć jakikolwiek sens. Dlatego zakończyła niedokończone zdanie kropką i zapisała notatkę w pamięci komórki. Po chwili opuściła aplikację.

W tym momencie pojawiła się w głowie inna myśl. Przewrotna w stosunku do poprzedniczki. Tak naprawdę to jakiś wewnętrzny głos podpowiadał jej zupełnie inne rozwiązanie. Zachęcił ją do sięgnięcia po jeden z zapisanych w pamięci telefonu skanów. Co najgorsze, nie wskazywał konkretnego, jedynie dawał do zrozumienia, że tak powinna postąpić.

Ponieważ bardzo lubiła czytać tę opowieść od babci, nie opierała się zbyt długo jego namowom. Zresztą była to jedna z wielu, ale dla niej niestety jedyna uratowana z pożogi i początku wymuszonego exodusu lektura obowiązkowa jej podobnych istot. Książka szczególna, kształtująca przywiązanie do kraju przodków, do krainy rodziców i poprzednich pokoleń. Nic innego, jak jeden z bardzo ważnych elementów scalających przeszłe, teraźniejsze i przyszłe pokolenia.

Natychmiast podjęła więc rzuconą przez myśl rękawicę i otworzyła odpowiedni plik. Szybko zagłębiła się w jego lekturę, chociaż znała prawie na pamięć każde zapisane tam słowo. Czytała ją przecież wielokrotnie, wracając do niej co rusz, za każdym razem, nomen omen z lekką nutką rozrzewnienia oraz, przede wszystkim, z wewnętrzną potrzebą ponownego obcowania z zapisanymi tam wydarzeniami i poznawanymi w niej bohaterami. I chociaż to był dopiero początek tej opowieści, w niczym jej to jednak nie przeszkadzało.

Powrót do niej był jak mantra. Jak nałóg. A wszystko dlatego, że za każdym razem intymnego obcowania z tamtą krainą inaczej interpretowała treść. Inaczej wszystko, co tam było zapisane, odwzorowywała jej wyobraźnia. Odkrywała wciąż

nowe rzeczy, nowe istoty, ważne szczegóły i wydarzenia. Wreszcie inaczej niż za każdym poprzednim razem odczytywała główne przesłanie tej opowieści.

I chyba właśnie tej dawki emocji i niepewności najbardziej poszukiwała, brnąc w kolejne strony tej książki.

*Kim zatem jest „J z Moczarów”?! Nikim innym, jak Malutkim. Takim samym, jak ja — szybko przebiegła wzrokiem po tekście, ale bardziej to był jednak szept, bo jej usta, chociaż nie wydobywał się z nich żaden dźwięk, to jednak poruszały się. Obserwując je, można by było odczytać z ich ruchu każde przeczytane słowo. — Należy do tej części społeczeństwa Siellandii, podobnie zresztą jak ja, która wiezie beztroski żywot. No, bo jakież może mieć obowiązki kilkunastoletni, smukły, szczupły i przystojny, o cerze gładkiej i pięknej jak alabaster młodzieniec? Chyba że używanie życia jest tak bardzo absorbującym, że aż wymagającym wielu wyrzeczeń zajęciem?*

*Z własnego jednak doświadczenia wiem, że to niemożliwe.*

*Jednakże „J z Moczarów”, choć zawsze stara się życie przeżyć wspaniale, wykorzystując swobodę i beztroskę oraz każdą nadarzającą się chwilę, to jednak dotychczas miał ciężki żywot. A to za sprawą tego, że natura obdarzyła go piękną sylwetką i cudowną twarzą, które to razem uczyniły z niego niedościgły wzór piękna. I to właśnie nastęcza mu nie lada kłopotów. Bo ilekroć spotyka się ze współtowarzyszami czy z rówieśnikami, staje się obiektem zainteresowania tej piękniejszej części społeczeństwa Siellandii. I może właśnie to męczące wszechobecne uwielbienie jego osoby pchnęło go w niedalekiej przeszłości do codziennego wychodzenia rano na spacer wzdłuż brzegu Oceanu? A wszystko po to, by choć przez chwilę odetchnąć od natrętnego i męczącego go zainteresowania nim przez innych. Ale przede wszystkim w celu naładowania akumulatorów oraz znalezienia najdogodniejszej możliwości do nieskrępowanego podejmowania kolejnych wyzwań, niezależnie od tego, jak bardzo doświadczałby go los.*

*A w ogóle należy wiedzieć, że społeczeństwo Siellandii dzieli się na dwie płci. Jedna — ładniejsza (naprawdę cudowna, wzór piękna nie do opisanie słowami, a szczególnie właśnie tu, w tej krainie, gdzie podobno są najodpowiedniejsze warunki do narodzin i życia takich cudownych istot)*

oraz druga — brzydsza (ale tylko z nazwy, bo w wielu przypadkach wcale nie ustępująca swoim pięknem tej pierwszej).

*Płci te potocznie nazwano: Siellandianka i Siellandianin.*

*A zatem, reasumując, „J z Moczarów” jest pięknym, smukłym, szczupłym młodzieńcem, z pochodzenia Malutkim, który codziennie powoli i w zamyśleniu chodzi wzdłuż plaży nad Zatoką Przodków...*

Tu przerwała czytanie. Coś ją bowiem zaniepokoiło. Niestety, nie potrafiła sprecyzować: co. Czy była to jakaś wewnętrzna potrzeba, czy może niewidzialny, ale wciąż trwający w niej zaniepokojony nagłym impulsem duszek bezpieczeństwa? Fakt był faktem. To coś nakazało jej w trybie natychmiastowym zakończyć wykonywaną właśnie czynność. Wstrzymać ją. Przerwać. I nie pytać o powody.

„Co to było?” — Ta myśl dobrą chwilę nie dawała jej spokoju.

Czymkolwiek było, zrobiło swoje i czmychnęło w siną dal, nie pozostawiając po sobie nawet śladu.

Spojrzała więc odruchowo na wyświetlacz telefonu i natychmiast uświadomiła sobie, że jest jeszcze dosyć wcześnie, a zatem wynikało z tego, że słońce było jeszcze dosyć nisko. I rzeczywiście, taka była prawda, ale też niepodzielnie już zapanowało na firmamencie, jakby niczego sobie nie robiąc z praw dnia i nocy. Jakby się nic do tej pory nie wydarzyło.

Rozejrzała się więc niespokojnie wokoło, ale i tu niczego podejrzanego, niczego, co mogłoby w jakikolwiek, nawet najmniejszy sposób jej zagrażać, nie zauważyła.

„A może to było tylko złudzenie?” — przeszło jej przez myśl.

Mimo to musiała być czujna.

Przez kolejną chwilę nie wydarzyło się nic, co miałoby jakikolwiek wpływ na nią, czy na jej bezpieczeństwo. Nic a nic nie zmieniło się w jej otoczeniu. I nikogo w pobliżu nie było.

Skąd zatem pojawiła się ta myśl?

Jednakże, pomimo pozytywnego zakończenia tej dziwnej sytuacji, całkowicie straciła ochotę na kontynuowanie wcześniejszej opowieści. Przynajmniej nie teraz i nie w tym miejscu. Może później.

Schowała więc telefon do kieszonki naszytej na środku spódniczki i tym sposobem usadowionej w bardzo wymownym i budzącym szereg dziwnych czy też i sprośnych niekiedy skojarzeń miejscu.

„Przynajmniej tu będzie bezpieczna” — pomyślała, po czym skwitowała całą tę sytuację szelmowskim uśmieszkiem.

Po sekundzie, może dwóch, ruszyła wzdłuż plaży, stąpając po coraz cieplejszym piasku. Kierowała się — jak zawsze — ku oddalonemu kilkaset metrów w prawo wielkiemu i strzelistemu klifowi. A wszystko po to, by spróbować ponownie spotkać Wenę, do której zatęskniła. No i żeby powdychać świeży zapach niesiony wiatrem od morza.

Uwielbiała go. Kochała to. Na dodatek tak się do niego przyzwyczaiła, że nie mogła bez niego żyć. Ponadto woda obmywała jej delikatnie stopy, a ona cieszyła się, że jest tak cudownie. Zawsze tak robiła. To było od niej silniejsze. Zawładnęło nią bez reszty. Nie mogła i nie potrafiła się od tego wyzwolić. I to już od pierwszego razu. Po kilku minutach znalazła się u podnóża klifu. Nagła myśl przeszła ją na wskroś i zaproponowała jej, żeby wyjęła telefon i wydobyła z jego wnętrza opis, którego dokonała w dniu wczorajszym, a którego nie miała jeszcze okazji obrobić i nadać mu finalnego kształtu.

Zdziwił ją ten nagły impuls, ale jako że kobiety zmiennymi są, przeszła nad nim do porządku dziennego, kompletnie nie wnikając w zasadność tego pomysłu. Wyjęła więc telefon i po chwili poszukiwań odnalazła ów poszukiwany fragment, o który tak głośno dopominał się jej wewnętrzny głos. Szybko przebiegła po nim wzrokiem, kolejny zresztą raz, przypominając sobie oczywiście jego treść. Był młody, świeży, ale od czasu jego powstania upłynęło już wystarczająco dużo czasu, by czytając go mogła patrzeć nań nieco krytycznie i mieć w wielu przypadkach inne rozwiązanie zastosowanych wcześniej figur słownych. Nie ingerowała jednak w tekst fizycznie, a jedynie w myślach nadawała mu nowy kształt.

A słowa wyświetlane na ekranie telefonu, które śledziła oczami, ułożone były w wierną rekonstrukcję opisu pewnego miejsca, o którym wielokrotnie opowiadała jej babcia, twierdząc przy tym, że „tam się wszystko zaczęło i tam się też skończy...”. Co miała na myśli, nigdy się nie dowiedziała, bo chociaż pytała ją o to wielokrotnie, próbując w ten sposób odkryć tę tajemnicę, to jednak ta nie zdążyła jej wyjaśnić całej prawdy. Mało tego, zabrała wszystkie tajemnice do grobu.

„Ale nic straconego — pocieszała się często w duchu po odejściu babci. — Na pewno kiedyś wszystko zostanie wyjaśnione. Będę poszukiwać prawdy tak długo, dopóki nie znajdę odpowiedzi” — dodawała.

Wymagało to jednak cierpliwości i konsekwencji. I o ile z tym pierwszym nie było problemów, drugie okazało się wcale niełatwe. Mimo to z każdym kolejnym dniem czuła, że przybliża się coraz bardziej do wyjaśnienia wszystkich zagadek, więc patrzyła z optymizmem na swe poczynania.

Ale teraz zajęła się tylko i wyłącznie tekstem wywołanym przez myśli do tablicy.

*Miasteczko „Pi” wyglądało tak, jakby niesforne dziecko pozostawiło w pokoju po zabawie, w całkowitym bezładzie, rozrzucone na zielonym dywanie kolorowe klocki. Małe, niewielkie, średnie, ale też i duże domy jego mieszkańców bez ładu i składu poustawiane były gdzie popadnie, w kompletnym chaosie.*

*Położone było w dolinie otoczonej ze wszech stron maleńkimi wzniesieniami, rozdzielonymi między sobą krętymi i wąskimi wstążkami dróg. Większość z nich była wydeptanymi ścieżkami prowadzącymi w kilku głównych kierunkach. Jedne odchodziły od środka promieniście, a inne okalały miasteczko, tworząc kolejne ich warstwy. Były wśród nich i takie, które łączyły ze sobą domy w sposób czysto dowolny, bez jakiegokolwiek ogólnej myśli, spójnej koncepcji. Słowem: był to jeden wielki labirynt różnych pod względem długości oraz szerokości arterii komunikacyjnych. Dlatego też całość sprawiała wrażenie, jakby ta grupka niesfornych dzieci po rozrzuconiu zabawek rozbiegła się w różne strony, a potem każde z nich wydeptywało śladami kierunki swoich ucieczek.*

*Drogi, a właściwie to piaszczyste trakty za obrzeżami miasteczka przecinały poletka uprawne i pastwiska malowniczo zalegające mocno pofałdowany teren. Tworzyły sobą w ten sposób swoistą pajęczynę oplatającą miasteczko, a gdyby na to spojrzeć z góry z niewielką domieszką wyobraźni, to wyglądało to niczym porzucane klocki oplecione siatką z wielkimi okami.*

*Różnokolorowe wzniesienia otaczające „Pi” były dla jego mieszkańców bardzo ważnymi elementami ich codziennego życia. Niektórzy nawet nie wyobrażali sobie bez nich swojej egzystencji. A wszystko dlatego, że nie tylko były czymś szczególnym, co zawdzięczały temu, iż ich widok zapierał dech w piersiach mieszkańcom i przyjezdnym, ale także potrafił tchnąć w obserwatorów wiarę i nadzieję oraz pobudzić ich serca i umysły do jeszcze lepszego działania. Również nie tylko i*

wyłącznie z powodu tego, że chroniły ich mieszkania oraz ich własny, intymny świat przed oczami wścibskich oczu, czy wręcz zaglądaniem w te miejsca zbyt często obcych czy nawet bogów. Chociaż może i wizyta tych ostatnich, kto wie, czy nie przyczyniłaby się jednak w ostatecznym rozrachunku do późniejszej poprawy ich bytu? Jednak nie chcieli, by tak było. Uważali bowiem, że skoro Natura i Przestrzeń tak a nie inaczej ukształtowały to miejsce, a późniejsi ich potomkowie tu właśnie zbudowali pierwszą osadę, to nic nie należy zmieniać, bo można tylko popsuć, a nie poprawić.

Lecz najważniejsze w tym wszystkim jednak było to, że hodowali na tych pagórkach bydło, czyli podstawowy element ich pożywienia. Że były dostarczycielami uprawnej ziemi, na której można było siać, a potem z której zbierać plony. A ziemia tutaj... marzenie. Czarna, pulchna, aż pachnąca czarnoziemem. A jakie plony dawała! Głowa mała! I to było ich największe bogactwo, za ewentualną utratę którego potrafili oddać nawet życie.

Dobrze im się też tu żyło. Miasteczko było małe, położone z dala od szlaków komunikacyjnych czy ścieżek najczęściej uczęszczanych przez istoty zamieszkujące Siellandię, więc mieli tutaj wszyscy jak u Siel i Natury w Pałacu.

Spółeczność nie była tu jednorodna. Miasto zamieszkane było jednak w głównej mierze przez Malutkich. Niewielu ich było, przez co wszyscy znali się doskonale. I niczego więcej do życia nie potrzebowali ponad siebie samych i to swoje miasteczko wtłoczone pomiędzy owe wzgórza.

Wielu z nich nigdy nie opuściło tego miejsca. Wśród nich byli rodzice „J z Mokradeł”, a także i on sam. Lecz byli też i tacy, którzy dostąpili zaszczytu podróżowania po świecie. Stanowili nieliczną grupę. Kiedy wracali, opowiadali o innych krainach. I chociaż z zachwytem wypowiadali się o innych miejscach, to jednak zawsze wracali do „Pi”, do, jak mówili, „najlepszego miejsca na ziemi”. Cóż, płynęła w nich przecież krew Siellandian, a ta zawsze nakazuje wracać do „kraju lat dziecińczych”. Do korzeni. Do początku.

O tej porze roku wszystkie stoki wzgórz pokryte były zieloną trawą przegradzaną złotą pszenicą oraz srebrną odmianą żyta. A wszystko to

ułożone było w różnokolorową szachownicę. Tylko gdzieś, na małych przydomowych poletkach uprawiano inne rośliny. Były wśród nich buraki czy marchew. Znaleźć można było i kapustę. Byli i amatorzy kalarepy, selera czy pora.

W te piękne, słoneczne dni, kiedy wszystko wokół kwitło w najlepsze, bo aura sprzyjała szybkiemu rozwojowi wszelkiej roślinności, w blasku wschodzącego słońca miasteczko, choć nie tętniło życiem, to jednak wyglądało tak kolorowo, jak gdyby ktoś wylał na to miejsce dosłownie całą paletę barw. I było tam jeszcze coś charakterystycznego tylko dla tego regionu. Na nasłonecznionych południowych stokach okalających miasteczko wzgórz ciągnęły się aż po horyzont zielone winnice, na których to dojrzewały białe i fioletowe winogrona. To była chluba tego regionu Siellandii. Duma tych mieszkańców. Ta część kraju słynęła bowiem z produkcji niepowtarzalnego w smaku wina, którego receptura skrzętnie przekazywana z pokolenia na pokolenie stanowiła tajemnicę jednego z zamieszkujących ten region rodów. Nie była to rodzina „J z Mokradeł”, ale zarówno on, jak i jego rodzice, a także rodzeństwo, znali ją doskonale. Przyjaźnili się z nimi, często odwiedzali się wzajemnie, a jego ojciec i matka wielokrotnie korzystali z wytwarzanego przez nich trunku. A ten był pyszny. Wysokokaloryczny i szybko uderzający do głowy.

Z trzech stron dostępu do tego miejsca bronił również gęsty i wiekowy las, w którym kolejne pokolenia drzew wyrastały na zgłiszczach poprzedników. To on porastał całą przestrzeń rozciągającą się tuż za wzgórzami, aż po horyzont. Wysokie drzewa zawsze, od dawien dawna, stanowiły zaporę nie do pokonania, o czym niejednokrotnie dowiadywali się ci, którzy chcieli szybko i łatwo zdobyć każdą osadę. Tak samo było i w tym przypadku, chociaż historia w przeciwieństwie do innych miejsc w Siellandii raczej rozpieszczała to miejsce i chroniła je wielokrotnie przed zawieruchami wojennymi.

Do tych czasów historia tego miejsca nie była burzliwa. Wręcz przeciwnie. Było tu zawsze cicho i spokojnie, chociaż miejsce to wcale nie leżało na jakiejś prowincji, na uboczu. Czas jednak płynął tutaj spokojnie, bez jakichkolwiek fajerwerków.

*Także historia jego powstania, jak i potem przepoczwarczenia się w taki, a nie inny ostateczny kształt, to dosłownie klasyka gatunku. Niczym zatem nie odbiegająca od kanonu przyjętego w Siellandii. I tak najpierw było siołem, czyli takim miejscem, gdzie osiadło kilka zaledwie rodzin.*

Podniosła wzrok znad tego tekstu i spojrzała przed siebie. Nadal stała w wodzie, która wciąż obmywała jej stopy. Było piękne, słoneczne przedpołudnie, a właściwie to nadal ranek. A mimo to nie było jej zimno.

Słońce, czyli najważniejszy element jej otoczenia, w porównaniu do poprzedniego położenia znajdowało się troszkę wyżej, ale jeszcze daleko mu było do połowy drogi, a co dopiero do kresu jego wędrówki.

\* \* \*

Złotowłosa piękność właśnie miała wrócić do przerwane go tekstu, kiedy to nagle pojawiła się w jej głowie scena sprzed lat, w której to znajdowała się w niewielkim pomieszczeniu z łóżkiem i oknem. Na tym pierwszym leżała jej chora babcia, zaś przez wspomniane okno wpadał blask księżycy. W pomieszczeniu dodatkowo zapalona była lampka nocna.

W tej retrospekcji siedziała na skraju łóżka i słuchała opowiadania zmęczonej osoby.

— Takich miejsc w Siellandii jest najwięcej — szeptała do niej babcia.

Dokładnie słowo w słowo kołatały w jej głowie tamte wypowiedzi. Wiedziała też, że mają związek z właśnie przeczytanym przez nią fragmentem tekstu.

— Duży to kraj, mało mieszka w nim obywateli, więc każdy może tu znaleźć miejsce dla siebie — kontynuowała opowieść staruszka na łóżku.

Wtedy nie śmiała jej przerywać. Siedziała bez ruchu, słuchała i starała się zapamiętać każde wypowiedziane słowo, a teraz, z perspektywy lat, okazało się, że ten trud nie poszedł na marne.

— Kiedyś, dawno, dawno temu, jeszcze przed Wielką Wojną, najwięcej w Siellandii było bardzo dobrze rozwiniętych miast. Drugie miejsce zajmowały wioski, a dopiero ostatnie w rankingu były sioła — staruszka mówiła spokojnym, przerywanym co chwilę gardłowym głosem. — Lecz te dwa ostatnie stanowiły znikomy procent wszystkich osad Siellandii. Tamta cywilizacja, zanim nie została zgładzona przez Barbarzyńców podczas Wielkiej Wojny, naprawdę wybudowała wiele pięknych miast, które dosłownie były perełkami samymi w sobie. No cóż,



dochodzili do tego wiele setek lat. Wiele pokoleń pracowało na ten sukces, ale przecież tak jest zawsze. Tak było i będzie. W każdej cywilizacji. Dlatego i tam kilkadziesiąt, ba!, kilkaset pokoleń przyczyniło się do wybudowania tak prężnej i cudownej cywilizacji.

— To gdzie ona teraz jest? — zapytała nieśmiało babcię, nie wierząc zbyt w te jej historie.

Z racji jej stanu, nie chciała się z nią kłócić, polemizować. Obalać teorii. Z drugiej strony, pragnęła mimo wszystko słuchać tych dziwnych opowieści. Było w nich bowiem coś z bajek, a te zawsze lubiła. I takimi je zresztą postrzegała.

Babcia udzieliła jej oczywiście wyczerpującej odpowiedzi. Lecz w tych reminiscencjach nie dane jej było ich ponownie usłyszeć. Znała je co prawda doskonale, lecz najwidoczniej nie czas był w tym momencie na to, by je ponownie przywoływać, bo właśnie przed oczyma pojawił się kolejny obrazek, dziejący się około kilku do kilkadziesiątu minut później od tego poprzedniego.

Babcia wówczas również leżała i nadal mówiła do niej swoim ciepłym, spokojnym głosem:

— Siellandia jednak do czegoś doszła — szeptała. — Kiedy ją opuściliśmy, najwięcej było siół, gdzie mieszkało po kilka zaledwie rodzin. Standardem siellandiańskim są dwie do czterech. Ale zdarzało się i więcej. Drugie w kolejności były wioski, których w tym kraju było ledwie trochę mniej niż tych pierwszych. W wiosce mieszkało zazwyczaj dwadzieścia do dwudziestu pięciu rodzin. I ostatnie w kolejności było miasto, które mogło pomieścić nawet po kilkaset rodzin. Miast było jednak w tym kraju jak na lekarstwo, podobno tylko około ośmiu. Każde z nich, zanim się stało aglomeracją, przechodziło swoistą ewolucję z sióła poprzez wioskę, aż do ostatecznego kształtu. Nigdy nie zdarzyło się tak, żeby powstało od razu miasto czy wybudowano wioskę bez powstania najpierw sióła. To było po prostu niemożliwe. Przed wypędzeniem ewolucja ta nabrała nawet bardzo szybkiego tempa, szczególnie przybywało jak grzybów po deszczu tych pośrednich osad. Ale Barbarzyńcy zniszczyli wszystko. I musieliśmy uciekać. Szkoda, że tak się stało. Ale nic straconego. Przecież kiedyś wypełni się nasza przepowiednia i znowu będziemy wszyscy razem na ziemi Natury i Przestrzeni. W kraju naznaczonym przez Florę i Faunę. Staniemy w tej krainie, wspominając pierwszego Malutkiego i jego wielkie wyczyny. I kolejne pokolenia też. Myślę, że ty tego doczekasz. Albo ostatecznie twoje dzieci. To Rozproszenie zbyt długo już trwa. Ono nas demoralizuje. Czyni, że

zaczynamy być tacy jak oni, jak ci, którzy nas stamtąd wygonili, wśród których kaprysem losu znaleźliśmy schronienie. Ale kij ma zawsze dwa końce. Dlatego zatracamy swoją odrębność, tożsamość, kulturę, dziedzictwo. Jestestwo. Jesteśmy zachłyśnięci i ślepo wpatrzeni w nowe dziedzictwa. Tutejsze. Sztuczne niestety. Nie nasze. Nam tak naprawdę odległe, które są kokonem, w którym źle się czujemy. I które sprowadzają nas na manowce. Bo widzisz, pozbierać się jest sto razy trudniej niż rozsypać. Tym bardziej po latach — podzieliła się z wnuczką życiową mądrością.

I chociaż nie ona była autorką ostatniego stwierdzenia, albowiem świadomie i z premedytacją wykorzystała wyczytane swego czasu w jednej ze stworzonych przez ludzi książek, to jednak nic nie stało na przeszkodzie, aby je teraz wygłosiła jako swoje. Autorskie.

Wtedy, w sytuacji na gorąco, nie zdając sobie sprawy z prawdziwego ich pochodzenia, w mig zrozumiała wymowę tych słów, uznając je za święte. Dlatego też natychmiast zdecydowała, że ona, niezależnie od tego, co się wydarzy, jak potoczą się dalsze losy jej oraz jej krajanów, pójdzie właśnie tą ścieżką zawartą w ostatnich słowach babci i każdego, kogo stamtąd spotka po drodze, będzie namawiać do tego samego ruchu.

Ale i teraz, w momencie tych retrospekcji, po czasie, który dał jej możliwość ochłonięcia, przemyślenia oraz przeanalizowania wymowy tych słów, jej pogląd na tę sprawę nic a nic się nie zmienił.

— Dlatego trzeba wreszcie przerwać tę nić — kontynuowała po chwili potrzebnej jej na zaczerpnięcie powietrza. — A jak spotkamy się na Leibie — wymownie wskazała oczami świecący za oknem Księżyc — wtedy opowiesz mi o wszystkim — poprosiła, po czym zamknęła oczy.

Ale nie straciła przytomności.

Zapanowała za to cisza.

Ona siedziała dalej na brzegu łóżka, lecz nie potrafiła wydobyć z siebie ani jednego słowa. Szok i oszołomienie opanowały ją wszak bez reszty.

Lecz wspomnienia po sekundzie zniknęły i ich miejsce zajęła myśl, by sięgnęła do kolejnego fragmentu własnego tekstu.

Zrobiła to nieświadomie, wracając po minucie do chwilę wcześniej przerwane wątku.

*Pi nie posiadało żadnej regularności ani schematu, według którego by je wybudowano. Tak zresztą jest z każdym miastem Siellandii. Dlatego,*

*że korzenie jego sięgają sioła. A ono zawsze powstawało w każdym dogodnym miejscu. Jedyńm wobec niego wymogiem było to, by było odpowiednim do jego stworzenia. Czyli, pospolicie mówiąc, powstawały przypadkowo, byle jak.*

*Na początku osiadł tu pewien Malutki o imieniu S. Pochodził z Krainy Lasów, dlatego mówił na siebie „S z Lasów”. Ale ponieważ był w tym miejscu pierwszy, a jeden w Siellandii to „pi”, z czasem kazał się tytułować „S-Pi”. I właśnie od tego jego jakby nazwiska powstała nazwa tej osady. I taką została aż do dnia dzisiejszego. A wszystko to na pamiątkę założyciela tego miejsca.*

*Z czasem inne Malutkie wędrujące po kraju i szukające miejsca dla siebie zamieszkały w pobliżu jego rodziny. I tak po kilku latach powstała w tym miejscu wieś. Dopiero niedawno, bo zaledwie kilkanaście lat temu, miejsce to nabyło prawa do nazwy „miasto”. Nie ma się więc co dziwić, że domy są tu poustawiane chaotycznie, jakby nikt nad tym nie panował, bo nie panował. Nie ma tu żadnego placu, który mógłby być centralnym punktem osady. Są za to drogi, wytyczone pospiesznie i w wielkim bezładzie, przez co bardzo wąskie i w większości wypadków prowadzące donikąd. Wystarczające jednak na to, by spokojnie się na nich wyminąć, czy nawet przejechać koniem zaopatrzonym w wóz, który jest tu jedynym środkiem transportu. Woźnica na wozie poganiający wolno stąpające konie to częsty obrazek o każdej porze roku.*

*To wszystko daje jednak obraz miejsca jakby nie z tego świata. A jednak jest ono na tym świecie. W tej, a nie innej rzeczywistości.*

*I w takich to właśnie okolicznościach rozpoczyna się ta cała historia.*

Zakończyła czytanie tej strony, bo nagle poczuła powiew wiatru, który lekko ochłodził jej ciało. Podniosła wzrok, po czym natychmiast spojrzała w niebo. Chwilę musiała odczekać, nim wzrok przyzwyczaił się do nowej, nagle zmienionej rzeczywistości. I, o dziwo teraz, kiedy słońce było już dosyć wysoko nad spokojną połącią morza, znowu dopadła ją Wena twórcza. Tak samo nagle, jak za każdym dotychczasowym razem. Jak kilkanaście dobrych minut temu, postępując tak, jak zawsze. Przychodząc nie wiadomo skąd i nie wiadomo dlaczego, a po wypełnieniu swej misji, cicho i niepostrzeżenie, ba, nie pytając o zgodę, znikając.

Nie mogła powstrzymać się przed naporem myśli, więc wyszła z wody i podeszła do końca plaży, przystając u podnóża wielkiej skały, w której wykute były kręte kamienne schodki. Usiadła na najniższym z nich tak, by promienie słońca mogły ogrzewać nieosłonięte części jej ciała. Po chwili, tym razem już patrząc w wyświetlacz, zaczęła zapisywać w telefonie komórkowym kolejne dochodzące ją szepty:

*Otoczone ze wszech stron i bronione przez otaczającą je przyrodę, jakby pomną tych wszystkich wydarzeń, które przecież jeszcze niedawno miały miejsce, małe miasteczko sprawiało wrażenie całkowicie wymarłego. Jakby dopiero co przeszedł tędy kataklizm. Jak kiedyś, a dokładnie tuż po panicznej ucieczce przed Barbarzyńcami po zakończeniu Wielkiej Wojny. W pobliżu parterowych półokrągłych domków, świetnie wkomponowanych w okoliczne pagórki i sprawiających wrażenie, jakby były pierwszą pozycją obrony w razie jakiegoś ataku na to miasto, gdzie w przeważającej większości mieszkali Malutcy, dopiero po chwili dało się zauważyć, że jednak kręcą się skrętnie jego mieszkańcy.*

*Malutcy do dnia dzisiejszego są bardzo pracowitymi rannymi ptaszkami. Ich dzień od pokoleń rozpoczynał się zawsze skoro świt i kończył bardzo późno, kiedy było już dawno po zachodzie słońca. Taką mają naturę, że każdy wolny czas lubią spędzać w swoich przydomowych ogródkach, w których uprawiają warzywa, ale i sieją piękne, pachnące kwiaty. Wiele z tych ostatnich wyrasta na taką wysokość, że gdy osiągną maksimum swojego wzrostu, zasłaniają kolorową gardą domy, przy których rosną.*

*Trochę bliżej środka miasteczka, też porzrzucone w beładzie stały piętrowe domy z kolorowymi i spiczastymi dachami, w których mieszkały rodziny Karłów. Ci natomiast zawsze imali się zupełnie innych profesji. Byli kowalami, drwalami, pasali bydło. Nie uprawiali roli, gdyż ta czynność zarezerwowana była tylko i wyłącznie dla Malutkich. To też było wynikiem wielowiekowych tradycji i doświadczeń. Nie znaczy to jednak, że Karzeł nie mógł uprawiać ziemi. Owszem, zdarzały się takie przypadki, lecz nie było to zjawisko powszechne. Nagminne. Ot, po prostu, wyjątek potwierdzający regułę.*

*Dzień Kartów również rozpoczynał się wcześnie i także bardzo długo trwał. Znacznie dłużej niż powinien, jeśli oczywiście przyjąć za jego miarę czas pobytu słońca na nieboskłonie.*

*I tego dnia także krzątali się po okolicy, wykonując wszystkie zaplanowane na ten dzień czynności.*

*Najwięcej zaś czasu miały zawsze Olbrzymy. Były to istoty, które zajmowały się handlem, budowaniem domów, czy też uczeniem w szkołach. Posiadały również wiedzę z zakresu leczenia swoich współtowarzyszy i bardzo często ją wykorzystywały. Mieszkały w wielkich piętrowych budynkach, rozsianych na całej przestrzeni tego miasteczka. Ich dzień jeszcze się jednak nie zaczął, albowiem zazwyczaj budzili się do życia, gdy słońce było już wysoko na niebie.*

*Prawie wszystkie kierunki wokół tej osady były zamknięte przez wielkie i gęste lasy. Jedyne od północy pozostawała otwarta przestrzeń. Przez jej środek biegła prosta i szeroka droga, która ginęła zaraz po chwili za jednym ze wzgórz. Gdy wyszło się na jego niewysoki i łagodny szczyt, rozciągał się stamtąd niesamowity widok. Wspaniały. W odległości około trzydziestu, może czterdziestu kroków od tego miejsca znajdowało się bowiem oczko wodne, szeroko rozlane w niecce z długą, wąską i bardzo piaszczystą plażą. Biel piasku aż biła w oczy. Promienie słońca odbijały iskierki od jego powierzchni. Koniec jeziora był bardzo daleko, prawie na horyzoncie, gdzie zlewał się z lasem w jedność. Było to dosyć głębokie jezioro. Pomimo to znajdowali się śmiałkowie, którzy potrafili przepłynąć je w pław.*

*Historia jego powstania jest bardzo krótka. Miało to miejsce bardzo dawno temu. Prawdopodobnie do jego stworzenia rękę przyłożył sam Krajobraz. Nieznany jest konkretny moment, kiedy zostało ono ukształtowane. Po prostu zawsze było i nikt nie dopuszcza nawet myśli, że mogłoby być inaczej. Jak wieść gminna niesie, ponoć raz na dwadzieścia lat o tej samej porze wyłania się z jego fal piękna Rusałka i opowiada zebrany opowieści, które miały miejsce wiele lat temu. Są nawet wśród mieszkańców tego miasteczka i tacy, którzy już dostąpili niewątpliwego zaszczytu obcowania z ową nimfą i posłuchania opowiadanych przez nią niesamowitych historii z dawnych dni. Lecz takich niestety jest niewielu, bo*

*nie każdemu dane jest ją spotkać. Ci, którzy mieli taką możliwość, twierdzą nawet, że to nikt inny, jak sama Siel, twórczyni i największa orędowniczka tej krainy. Ale przecież ona od lat nie żyje, nikt do tej pory nie znalazł Pierścieni, jakie miałyby ją na nowo powołać pomiędzy żywych, więc nie należy zbyt często do tych opowieści przywiązywać.*

*Jeziro owe mieszkańcy nazywali po prostu „Oczkiem”, gdyż kształtem przypominało właśnie ten organ. Zawsze było w jego okolicach pięknie, i to niezależnie od panującej na zewnątrz pory roku. Bo nawet w największy śnieg słońce nadawało temu miejscu niepowtarzalny charakter. Jego cudowność oraz krążące o nim legendy, jak również możliwość spotkania owej tajemniczej Nimfy przyciągały nad jego brzeg wielu turystów, i to bardzo często z najodleglejszych zakątków Siellandii. Okolicznym mieszkańcom nie przeszkadzało to zupełnie, gdyż tutejsza społeczność była bardzo otwarta, towarzyska oraz wyznająca jedną z najważniejszych w tej krainie zasad: „gość w dom, Siel i Natura w dom”.*

*Należy też zauważyć, że jezioro zawsze miało spokojne wody, co czyniło go jeszcze bardziej atrakcyjnym. A i spośród mieszkańców miasteczka było wielu takich, którzy bardzo lubili przesiadywać na jego plaży. W ogóle, to miejsce było szczególne. Ten kawałek wody oddalony od Oceanu Burz zaledwie o dwie godziny drogi był dla wielu nawet czymś piękniejszym od tamtych skał, tamtej bryzy, czy tamtego klimatu. Nie ma się więc co dziwić, że wielu było amatorów porannych spacerów czy nocnych biesiad przy ognisku rozpalonym na jednej z jego plaż, które zazwyczaj kończyły się o świcie następnego dnia. A wschód słońca nad jego delikatnymi falami był czymś niespotykanym nigdzie indziej, czymś niesamowitym dla wzroku, duszy i umysłu — nie bez szans na zwycięstwo z tamym dziejącym się nad znacznie większą i bardziej wzburzoną wodą. Dlatego też wielu młodych obywateli miasteczka lubiło w ten sposób właśnie spędzać wolny czas. I tu go spędzała.*

*Stąd ich obecność tego dnia na brzegu. Niewielka to była grupka istot. Wśród nich było kilku Olbrzymów, dwie, może trzy przedstawicielki piękniejszej części Kartów oraz kilka Siellandian oraz Siellandianek należących do rasy Malutkich. Wszyscy oni w wieku około dziewiętnastu,*

*dwudziestu lat, skupieni przy ognisku siedzieli wokół wysokich na kilka metrów płomieni i przy dźwiękach gitary śpiewali biesiadne piosenki.*

*W ogóle, Siellandianie lubią śpiewać i tańczyć, jakby byli do tego stworzeni. Ale skoro pochodzi się w prostej linii od pierwszego tancerza świata — Czasu — to nie może być inaczej.*

*Spędzili tu całą noc, albowiem sądzili, że spotkają ową tajemniczą Nimfę. Wieść przekazywana z pokolenia na pokolenie mówi, że gdy się ją spotka, to spełni się najskrytsze marzenie, o jakim się w danym momencie pomyśli.*

*Lecz przede wszystkim wyswata ze sobą zakochanych.*

*Według ich wyliczeń, to miało nastąpić właśnie zeszłej nocy. Ale niestety, albo to była bujda, albo zniechęcona nadmiernym hałasem Nimfa przełożyła wizytę w krainie na lepszy dla niej czas. Albo jeszcze inaczej, nikomu nic nie mówiąc, odeszła z tego miejsca i znalazła sobie inne, lepsze. A może młodzi po prostu pomylili się w obliczeniach, może to wcale nie był jej czas?*

*Po północy, kiedy nadzieje na ujrzanie tajemniczej Rusałki zgaśły, postanowili zostać w tym wyjątkowym miejscu i zobaczyć wschód słońca nad Oczkiem. A było co oglądać. Jak zawsze zachwycające i niespotykane zjawisko tak ich chwyciło za serce, że oniemieli z wrażenia i nie mogli wydobyć z siebie żadnego dźwięku. Za to wysączyli wielkie morze łez. Tak wielkie, że mogłoby się z tej wody stworzyć niejedno morze.*

*Teraz jednak, gdy słońce wisało już nad miastem, postanowili powoli zakończyć biesiadowanie i rozpierchali się do domów, by tam dalej cieszyć się beztróskim życiem w Siellandii. Wszak był wolny dzień od zajęć w szkole, dlaczego więc nie mieliby wykorzystać tego faktu dla własnych uciech? Po chwili na plaży zostały zaledwie cztery istoty, które dalej śpiewały piosenki. Stanowili zgraną paczkę, o czym wszyscy doskonale wiedzieli, albowiem zawsze trzymali się razem. Jedna z nich — słusznej budowy ciała Olbrzym — niejaki „S z Kaktusów”, grał na gitarze. Ognisko powoli dopalało się, a oni, kołysząc się w takt granych pieśni czuli, że czas nieubłaganie przyśpieszył i chwila rozstania zbliża się nieubłagalnie. Było im wspaniale i tak by pewnie pozostało, gdyby nie nagły głos, który przerwał tę sielankę...*

W tym momencie podpowiedzi Weny ustały. Ale ciąg dalszy tej opowieści istniał. Powstał kilka dni wcześniej. Spisywała tę opowieść tak, jak jej podpowiadała Wena, a ta nie przestrzegała jakiegokolwiek chronologii, dlatego tak właśnie wyszło. Ciąg dalszy, czego nie mogła powiedzieć o najnowszym swoim wytworze, dawno już został poprawiony i przetworzony w tradycyjną, elektroniczną formę, zapisaną gdzieś na najdalszym fragmencie partycji dysku domowego komputera. W wersję schowaną tam przed wścibskimi oczami, ukrytą głęboko w pliku z sekretnym zabezpieczeniem. Znanym li tylko jej hasłem.

Tak na wszelki wypadek, jakby do czegoś doszło.

Ale Wena po chwili znowu nieśmiało zapukała do jej duszy, bo ponownie nakazała jej otworzyć aplikację do tworzenia notatek, po czym zaczęła dyktować jej kolejne słowa:

*Skala Straceńców to wielka, płaska półka skalna, wystająca kilkanaście kroków w stronę morza. Wisząca nad Oceanem jakieś trzysta do czterystu metrów nad jego powierzchnią. I gdyby z niej skoczyć, to marnie wyglądałby efekt zetknięcia śmiałka z powierzchnią rozbudzonego tam zawsze oceanu. Niewiele by z niego bowiem zostało po tym wyczynie. Natomiast wyjście żywym z tego upadku graniczyłoby z cudem.*

*A Ocean pod nią jest bardzo głęboki.*

*Skala ta to istne cudo natury ukształtowane przez Krajobraz i Wodę w okresie, kiedy powstawał, w zarysach dopiero ostateczny kształt tego globu. Tak naprawdę podobno wykonane tylko na próbę, jako pomysł do akceptacji przez Naturę i Przestrzeń. Ostatecznie nie znalazło wielkiego uznania u swoich budowniczych oraz ich przełożonych, ale ci drudzy nakazali jego pozostawienie.*

*I tak temu miejscu zostało do dnia dzisiejszego.*

*Woda zawsze szalała z wielkim impetem, rozbijając się o skały, bardzo je przy tym wymywając. Działo się tak szczególnie w Porze Wiatrów.*

*Na górze zaś, ponad wiszącą skałą, strasznie wiało. Na szczęście sile erozji, która trwa i wiele lat jeszcze trwać będzie, gdyż nie da się jej zatrzymać, twarda skała wciąż stawia zdecydowany opór i nie poddaje się niszczącej sile wody oraz powietrza. Ciekawe tylko, jak długo to jeszcze potrwa. Pewnie wcześniej czy później ulegnie jego urokowi i podda się*



bezwiednie czynionym przez nie zalotom. A te ostatecznie skruszą ją i wystający skalny cypel nieodwołalnie runie w przepaść, znikając pod powierzchnią Oceanu.

Wszak siła rozpędzonej, rozszalałej wody w połączeniu z wiatrem i zmiennością warunków atmosferycznych jest niesamowita. Nieokiełznana.

Odwrócili się, by spojrzeć na morze. Przed nimi rozpościerał się piękny widok. Ocean sięgał aż po horyzont. Fale przesuwały się jedna za drugą. Woda miała kolor błękitu.

Usiedli więc na skale tak, by nogi zwisały im z niej. To był pomysł „J z Mokradel”, na który ona przystała. Na wszelki wypadek złapał ją za dłoń, żeby się nie bała. Ale ona nie obawiała się niczego. Lecz nie pogardziła jego gestem.

Napawali się chwilę tym pięknym widokiem. Chcieli być razem tego szczególnego dnia, w którym pamięta się o wszystkich przodkach. I zamiast rozmyślać o nich oraz o okrucieństwie, jakie przeszło przez to miejsce, przez ten wspaniały i ukochany kraj, oni woleli cieszyć się, że obecnie można spokojnie odpoczywać w tej cudownej krainie, a przez to zupełnie zapomnieć o otaczającym ich świecie. Ale nie mogli, bo twarze przodków oraz echa wydarzeń, tak żywe wciąż w każdym z Siellandian, a więc i w nich samych, nie pozwalały na to.

Dlatego myślami byli wśród tych wszystkich swoich przodków, których na rozkaz Suzerena Barbarzyńców kazano z tej skały zrzucić do zimnego oceanu i którzy nie ujrzeli już światła dziennego. Cóż oni byli winni? Jediną zbrodnią, jaką w życiu zrobili, było to, że urodzili się tu, tutaj mieszkali i kochali ten swój piękny i wspaniały kraj, jakim była Siellandia. To wszystko. I dlatego Barbarzyńcy ich wybili, a kraj spustoszyli i zrównali z ziemią.

— Lecz dzisiaj znów można cieszyć się życiem w Siellandii — rzekł do niej i przycisnął ją mocniej do swego ramienia.

W to jej grało, bo trochę było zimno, a ciepło, jakie od niego emanowało, bardzo szybko udzielało się i jej.

— To piękne, że tak wyniszczony przez innych naród dźwignął się ponownie i wszedł na ścieżkę rozwoju. Byle tylko teraz wykorzystać tę

szansę, bo trzeciej już na pewno nie dostaniemy, a nie każdemu jest dane drugie życie.

— Tak, masz rację — odpowiedziała mu cichym, delikatnym szeptem, podobnym do tego, jaki towarzyszy niezdecydowaniu. — Księga Czasu nie przewiduje tego.

— Tego chyba nikt nie wie. Nie znamy przecież wszystkich prawd Księgi Czasu — odparł, spoglądając na nią.

— To ją znajźmy i zobaczmy — zaproponowała.

— Mówisz poważnie?! — Poddał w wątpliwość usłyszane słowa i spojrzał jej prosto w oczy.

Zobaczył w nich iskierkę podobną do tej, jaką Natura swego czasu ujrział w oczach swojej ukochanej Przestrzeni, kiedy minął milionowy okres wysuszenia planety...